

RAFAŁ CICHOWSKI

# Ogień

z każdej strony



# Ogień

z każdej strony

Redakcja: Joanna Mika

Korekta: Beata Zaluza

Skład: Daniel Malak

Okładka: Rafał Cichowski

Cytat na str. 370: Charles Baudelaire, *Kwiaty zła*,  
przeł. Stanisław Korab-Brzozowski

© Rafał Cichowski 2025

fragment pobrany ze strony rcy.pl

ISBN: 978-83-973680-1-9 (ebook)

978-83-973680-0-2 (druk)

Wydanie I, Warszawa 2025

# Część I

## Rytuały czerwonej ziemi

## Równonoc

Jesienny rytuał jest najważniejszy ze wszystkich, bo dzięki niemu możemy się przygotować na najgorszy sezon. Żeby go odprawić, idziemy w równonoc przed zachodem słońca na pierwszą krzyżówkę we czworo i rozbiegamy się, każde w inną stronę, żeby przynieść żywioły. Kierunek świata wybieramy zgodnie z wiekiem. Wschód jest najmłodszy, zachód najstarszy, południe przychodzi pierwsze przed północą. Na umówiony znak jednocześnie ruszamy na poszukiwania, ale tak naprawdę to żywioły znajdują nas. Z tego, co przyniesiemy, Jan układa historię i już wiemy, czy zima da nam w kość, czy obejdzie się z nami łaskawie. Zeszłej równonocy wróciły wiatr, woda i dwie ziemie, i prawie zamarziłem bez ognia. W lutym temperatura spadała tak nisko, że w chałupie leciała para z ust, a rano nie dało się wystawić ręki spod pierzyny. Nie wiem, ile było stopni, bo termometr pękł. Bardzo lubiłem te wzory na szybach, które mróz nam malował – pociągnięcia chłodu ułożone w kwiaty, rzeki, łodygi szklanych drzew. Wszyscy mieli dosyć zimna i tego, że nie możemy rozsmarować masła na chlebie, ale ja chciałem, żeby lodowe witraże zostały z nami jak najdłużej, bo dzięki nim nasz dom wypiękniał.

Do rytuału potrzebnych jest dwóch chłopaków i dwie dziewczyny, koniecznie dziewice. Wcześniej nie znałem tego słowa, ale któregoś razu sprawdziłem je w encyklopedii i mam kilka pytań. Jak co roku biegną z nami siostry Ambroziakówny, ale Jagna się rozchorowała, więc zamiast niej Janek uprosił Dianę. Jest o jeden dzień starsza od niego, dlatego weźmie zachód, a brat południe. Ja pobiegnę na północ, więc też inaczej niż zwykle. Lena bez młodszej siostry tym razem musi się skierować na wschód.

Las we wrześnie wciąż jest zielony, ale pachnie inaczej – wilgocią i grzybami. Jeszcze mocno trzyma się wspomnienia lata, ale nie dłużej niż za tydzień wybuchnie kolorem, żeby otulić nas na pożegnanie ciepłymi barwami, nim zima zatrzyma tu czas i wszystko wytrze do kości. Gałęzie cicho pękają pod naszymi stopami, gdy suniemy niespiesznie, zasłuchani w piosenkę, którą siostry nucą pod nosem. Melodia wznosi się wysoko i opada w szept, sprawia, że zapominam, gdzie jestem i po co idę tym duktem, choć nie ma w niej słów. A jeśli już, to w języku, którego nie znamy. Zauważyłem, że dziewczyny tak potrafią zaczarować głosem i spojrzeniem, że później świata się nie widzi, tylko chciałoby się słuchać tego głosu bez końca i patrzeć, jak w ich źrenicach odbija się niebo. I nawet Janek zdaje się podatny na urok, bo co rusz zerka przez ramię na Dianę. Ona zaś wygląda spomiędzy włosów parą oczu zielonych jak mokry mech i nuci swoje, wciągając go głębiej w to spojrzenie, aż wreszcie coś i we mnie się przestawia, i czuję, że jeśli zaraz się nie odezwę, to wyzionę ducha jeszcze przed pierwszą krzyżówką.

– Jak myślicie, to prawda, że wytną nam las? – zaczepiam ich, ciągnąc w rozmowę. – Wójt mówił, że widział plany i kiedyś ma iść tędy droga nad morze.

- Lasu nie mogą ruszyć, dadzą drogę naokoło.
- Ja to bym chętnie pojechała na plażę.
- Skąd wiesz, że nie puszczą jej przez las?
- Bo nie wolno. Prędzej sąsiadowi chałupę zburzą, niż drzewa tu położą.
- Byłaś kiedyś nad morzem? – pytam Lenę.
- Nie. A ty?
- Też nie. Widziałem tylko w telewizji, jak pokazywali plażowiczów w Kołobrzegu. Strasznie wiało i była ogromna fala, która przewracała ludzi. Wychodzili z wody cali w glonach i z piaskiem w zębach, ale uśmiechnięci, więc chyba im było fajnie.
- Ja raz dostałam pocztówkę od cioci ze Świnoujścia. Przyszła dopiero zimą, cała pomięta, ale z przodu pokazany był zachód słońca nad wodą i patrzyłam na niego godzinami, bo taki on piękny, że od razu chciałam tam być.
- Ja teraz maluję zachody – chwale się.
- Naprawdę? A jak?
- No farbami. Ale nie plakatowymi, bo one się do niczego nie nadają. Sam sobie robię kolory.
- To tak można?
- Pewnie. Brakuje mi kilku, ale jak już je zdobędę, to mogę ci machnąć obrazek. Na razie zrobiłem sobie zielony z trawy, czerwony z krwi, czarny z węgla i szary z popiołu. Potrzebuję jeszcze żółtego i niebieskiego do nieba, ale z tym jest najtrudniej. Chyba będzie trzeba poczekać do wiosny, aż niezapominajki zakwitną.
- Do wiosny to ja już dawno wrócę znad morza – mówi Lena, puszcza oko i się uśmiecha.
- Akurat.

– Przywiozę ci piasku i muszelek pełno. I glona, żebyś mógł sobie na włosy położyć i poczuć się jak ci plażowicze.

– Cicho tam, już prawie zmierzcha – upomina nas Janek.

Stajemy na krzyżówce plecami do siebie. Brat zerka w stronę zachodu. Słońca dziś niewiele, jedynie jaśniejsza plama wytarta wśród szarości tuż nad ścieżką przypomina, że zbliżamy się nieuchronnie do końca dnia. Zamykam oczy, bo tak trzeba, i czuję, jak ziemia obraca się pod moimi stopami, pędząc przed siebie niczym kamień rzucony w ciemność. Janek wypowiada słowa:

– Ogień, woda, czasu szkoda, ziemia woła nas, wiatr goni. Gdzie na północ, idź po znaki, na południe ciągną szlaki, od zachodu noc zasłoni, wschód już sen ma obiecany. Zanim wyśni nowe zmiany, mówcie szybko, co nadchodzi.

Ruszamy, każdy w wyznaczonym kierunku. Kroki za plecami gasną, a im bardziej zostaję sam, tym szybciej idę, bo choć znam tu każde drzewo, a dnia wystarczy, by nie zgubić drogi, to wiem, że las widzi i wie wszystko, a ja nie lubię, jak mi ktoś zagląda w serce i do głowy. Strach zawsze staje za człowiekiem z tyłu, w miejscu, którego nie sposób dostrzec. Rusza i zatrzymuje się w tym samym tempie, i znika, gdy zerkam przez ramię. Podobno da się go oswoić, wystarczy zawołać po imieniu, ale najpierw trzeba to imię poznać.

Dalej na północ. Przebiegam pod dębem z uciętą gałęzią i zatrzymuję się na mostku, by złapać oddech. Rzeka płynie wartko, deszcze dawno obmyły ślady naszej strzelaniny, choć w szkole do dziś opowiadają, jak się wykopyrtnąłem na cegle i nas gajowy Półtorak przyskrzytnił, tylko w wersji, gdzie spuszcza na nas groźnego psa, a my rozbiegamy się w obie strony, zostawiając go ogłupiałego pośrodku i z wywieszonym jęzorem. Wszyscy wiedzą też, że nie



puściliśmy pary z gęby i szanują nas za to bardziej. Nikt mi teraz nie zabroni zanurzyć rąk w strumieniu, wrócić na krzyżówkę i powiedzieć „woda”, ale nie chcę deszczowej zimy jeszcze bardziej od tej polarnej. A jeszcze bardziej nie chcę wyjść na cykora, więc moje odbicie spluwa spod powierzchni i odwraca głowę, zanim rozproszą je fale. Oczy mrużą się i celują wzdłuż ścieżki, gdzie ponad starymi drzewami szarość zbija się w coraz gęstszy kłąb.

Wtedy słyszę to po raz pierwszy i ostatni. Obcy dźwięk, nowy głos, wołający ponad szumiącą melodią lasu, metalowy i wściekły. Przemyka w oddali i powoli gaśnie, rozdwojony echem. Przeskakuję rów i idę ostrożnie, schowany za linią drzew, nasłuchując kolejnych głosów, które nigdy nie nadchodzą. W końcu robi się zbyt gęsto, więc wracam na dukt, sunąc przyczajony, zastanawiając się, czy nikt nie chce mi zrobić jakiegoś kawału. Las tutaj jest bardziej dziki, bo mało kto zapuszcza się w te okolice. Przekraczam powalone drzewa i co chwilę zatrzymuję się, żeby posłuchać.

Idzie na deszcz. Powietrze robi się rześkie i dostaję znak w postaci zimnego podmuchu wiatru z północy. Gałęzie uginają się i posypują liśćmi, a trawa na ścieżce faluje. Zerkam za plecy i dostrzegam ruch w oddali, na krzyżówce. Ktoś już wrócił i ja też powinienem zawracać, zanim będę musiał ścigać się z nocą, ale las ciągnie mnie dalej, jakby wołał melodią głębiej w spojrzenie, jego oko to tunel wycięty w zielonych drzewach, a w czarnej źrenicy na końcu błyska światło.

Biegnę, choć wiatr i strach pchają w drugą stronę, i wskazuję w chaszczę przy uroczysku, osłaniając twarz przed gałęziami, a później padam na ziemię i przeczołguję się pod zwalonym jesionem. Zza liści wyłania się polana, a po jej drugiej stronie stoi Straszny

Dwór. Serce bije mocniej, ale byłem tu już tyle razy z Jankiem, że prawie się nie boję, choć i tak powtarzam szeptem: „to tylko dom, to tylko dom”, żeby nazwać i oswoić swój strach. Podchodzę bliżej, starając się nie myśleć o dzieciach topionych w stawie ani o metalowych szkieletach łóżek ustawionych rzędami pod ścianą i długich, ciemnych korytarzach, które widać zza przykurzonych szyb. W jednym z okien zapala się światło.

Świeca wypełnia puste pomieszczenie ciepłym blaskiem. Czyjś cień drga na suficie. Zamykam rozwarte usta, zanim ucieknie z nich jakikolwiek dźwięk, wycofuję się po cichu po swoich śladach i biegnę, biegnę, jakby sam diabeł skoczył mi na plecy i batem poganiał. Do krzyżówki docieram ostatni, zziębnięty i cały czerwony na twarzy.

– Widziałem światło. Widziałem światło w Straszonym Dworze – dyszę i sopluję.

Janek patrzy na mnie surowo, bo nie odmówiłem formułki, ale do cholery z tym jego rytuałem, skoro tam zaczęło straszyc albo jeszcze gorzej. Z tego wszystkiego nie zauważam nawet, że Lenie kapie krew z dłoni. Czerwone krople wiszą na koniuszkach palców jak pomalowane paznokcie. Zaciska je w pięść, ale po chwili pokazują się znów i leniwie skapują w trawę, jedna po drugiej.

– Chcę już wracać do domu – mówi.

– Dobra, idźcie, ja sprawdzę, co z tym Dworem – mówi Janek.

– Sam? Zaraz będzie ciemno.

– Jak chcesz, to chodź ze mną.

– Ja z tobą pójdę – odzywa się Diana. – Zobacz, dzieciak wygląda, jakby śmierć zobaczył.

– Wiedźma – syczę pod nosem, ale tylko żeby nie pokazać, jak bardzo się cieszę, że się zgłosiła.

– Odprowadź mi siostrę do domu. A ty pokaż matce to skaleczenie, niech ci przemyje rywanolem.

Ruszają na północ, my w przeciwnym kierunku. Las traci kształty, zlewa się w jednolitą, kolczastą czerń i tylko gasnący szary pasek nieba nad głowami pozwala nam nie zgubić kierunku. Docieramy do drogi bez słowa. Dopiero gdy nasze podeszwy stają na twardym asfalcie, wracają głosy, jest nawet śmiech.

– Głupia akacja – rzuca Lena i zaciska polepione palce. – Dobrze, że kolec cały wyszedł. Naprawdę widziałeś tam światło?

– Przysięgam. Widziałem nawet człowieka. To znaczy jego cień w oknie na poddaszu. To znaczy, mam nadzieję, że to był człowiek. Słyszałem też jakiś dźwięk wcześniej. Dlatego poszedłem na uroczysko.

– Wierzę ci – mówi i łapie mnie za rękę, a mi robi się ciepło i jasno w środku, jakby ktoś dmuchnął w żar.

Idziemy tak razem środkiem jezdni aż do samych rozstajów, ale czuję, że mógłbym iść nawet do Żychlina, na koniec świata albo prosto w przepaść. W oknach domu trzech sióstr miga niebieskie światło telewizora. Gdy leci dobry film, też potrafimy się tak zapatrzyć i nie zauważyć, że noc już opiera się o szyby.

– Lena, dasz mi trochę tej krwi? – pytam, zanim pójdzie. – Do farby, w sensie.

– Mogę ci zebrać w słoik. Tylko nie dawaj bratu. Nie chcę, żeby zamienił mnie w kurę albo coś.

– Dzięki. Mój pierwszy obraz będzie dla ciebie, masz to obiecane.

– Ej, mówiłeś, że już umiesz malować.

– Ja? Nic takiego nie mówiłem.

Trzaska furtką, puka się palcem w czoło, wystawia język, ale i tak przystaje na ganku, odwraca się i do mnie macha. Idę powoli w stronę domu, wzdłuż czarnej ściany lasu, nasłuchując głosów Janka i Diany. Cisza. Wiem, że będą pytać o brata, jak wrócę sam, więc siadam na rowie, rozdieram źdźbła trawy na cienkie paski i długo czekam, obmyślając dobrą historię. W końcu poddaję się burczeniu brzucha, który zacisnął się w ciasny węzeł, wyzymając mnie z resztek cierpliwości, i wchodzę na podwórze. Dziadek siedzi gołym tyłkiem w metalowej balii pełnej wody i uderza w nią rękami jak bobas, tylko taki siwiutki i powykrcany, który dodatkowo skrzeczy po niemiecku: *Das ist mir Wurst. Das ist mir Wurst.*

W domu śmierdzi i już wiem, co tu się stało. Zafajdane pantalone zasypane proszkiem w misce, plama na łóżku, mokry dywan, puste talerze na stole i trupia cisza. Ostatnio w ogóle mało się tu mówi. Za rodziców gada telewizor, nawet kłóć się bez słów, zmieniając sobie na złość kanały. Dzisiaj mi to na rękę, bo przynajmniej nikt nie pyta o Janka. Jemy chleb w jajku przy dwóch pustych talerzach, a zza okna dobiegają odgłosy drugiej wojny światowej. W końcu ktoś będzie musiał wstać, przyprowadzić dziadka, przewinąć go i położyć spać. Czasem w duchu proszę, żeby go ziemia zdążyła przyjąć, zanim to ja będę musiał się o niego troszczyć. Potem czuję się okropnie, że w ogóle tak pomyślałem. Widzę nas w słoneczny dzień na ławeczce, jak gładzi mnie po włosach, uśmiechnięty i spokojny, a później dostrzegam w odbiciu w szybie mamę, która stoi nad zlewem i topi w słonych falach brudne statki, i myślę sobie, że starzy ludzie powinni po prostu umierać, zanim zaczną udawać żywych.

Odchodzę od stołu, wracam na podwórze i kręcę się od bramy do bramy, a psy łążą za mną, jakbym im coś obiecał.

– No i gdzie jest ten Janek? Pomożecie mi go znaleźć? – pytam włochoatej, dyszącej gromady. One, jakby rozumiejąc, ruszają pędem do furtki, wciskają nosy między sztachety.

W drzewach unosi się i opada żar. Pociągnięcia papierosa ledwie oświetlają nos i policzki bladoczerwoną luną, ale ja zbyt dobrze znam tę twarz. Drzwi do domu są na szczęście zamknięte. Okrążam szopę, przeskakuję rów i drogę, zachodząc pod dom od strony lasu.

– Miałeś rację – odzywa się Jan. – Ktoś tam był.

– Widziałeś go?

– Nie, ale przy bramie stał samochód. Musiał dojechać starą drogą przez chaszczę za cmentarzem.

– Czyli nie duchy – uspokajam się.

Janek parska śmiechem, spluwa i mocno się zaciąga.

– Ludzi się bój, nie duchów, młody. Duchy ci nic nie zrobią, jeśli ich nie będziesz niepokoił. A z ludźmi to nigdy nie wiadomo.

Zerkam spomiędzy drzew na nasz dom, widząc go po raz pierwszy tak, jak patrzy na niego każdy mój strach, który czai się nocą po drugiej stronie drogi. Małe, szare pudełko z prostokątnymi otworami, pełne światła i harmidru. Ciekawe, kto tam żyje? Jakie historie opowiadają sobie przed snem ci dziwni ludzie, których los upchał do środka?

– Ej, a co w końcu wyszło z żywiolów?

– Ty widziałeś światło, Lena się skaleczyła, Diana wlaźła w pokrzywy, a ja znalazłem to. – Podaje mi mały, zimny metalowy przedmiot, cały brudny od ziemi.

– Zapalniczka? – pytam, naciskając przycisk, który zamiast pstryknąć, tylko zgrzyta, mieląc piach między zębami.

Janek kiwa głową.

– Ogień z każdej strony.